

Opublikowano w (2003) *British Gestalt Journal*, tom 12:2, oraz w R. Lee (redaktor), 2004. *Values of connection: A relational approach to ethics* (pp. 35-56). Hillsdale, NJ: Gestalt Press/Analytic Press.

Etyka kontekstu i pola: Praktyka troski, inkluzji i otwartości na dialog

Dr Lynne Jacobs

Tłumaczenie: Marta Szmania-Deierling

Po wydarzeniach 11. września 2001 roku starałam się zrozumieć nienawiść i negację inności. Nie próbuję odgadnąć faktycznych myśli i uczuć osób, które porwały samoloty i zaplanowały całe zdarzenie, jednak efekty tych działań można z łatwością odczytać jako nienawistne, jako wrogą negację. Zainteresowałam się tym zjawiskiem nie po to, by lepiej zrozumieć porywaczy, ale ze względu na to, że wydarzenia tamtego dnia zaczęły wpływać na moją pracę z klientami. Niesmakiem napawa mnie świadomość, że zaczęłam nienawidzić i negować niektórych z moich pacjentów.

Po pierwszym tygodniu, gdy po prostu milczałam, jak gdyby słowa nie miały wartości ani sensu, moje ciało i skóra wydawały się być podrażniona i wrażliwa. Ta drażliwość stała się problemem w relacji z moimi pacjentami, ponieważ uniemożliwiała mi tolerowanie nawet najmniejszych aktów negacji, jak gdyby te negacje były zadrapaniami na mojej podrażnionej skórze.

Podejrzewam, że wydarzenia tamtego dnia w pewien sposób prześladowają każdego z nas. Mojego bratanka, który pod gruzami WTC stracił najlepszego przyjaciela, dręczą pytania i wyobrażenia. Jak wyglądały ostatnie chwile jego przyjaciela? Czy pomagał innym? Czy był zszokowany i sparaliżowany? Czy był wtedy na klatce schodowej nieświadomy najgorszego horroru, który miał go pochłonąć?

Mnie samą dręczy między innymi obraz pasażerów na pokładach samolotów, które zamieniono w pociski. Wyobrażam sobie to skręcające wnętrze uświadomienie, że zrobiono z nich mimowolnych sprawców przerażającego masowego morderstwa. Użycie ich w ten sposób był ostatecznym pogwałceniem ich sprawczości, ich godności. Nie tylko mieli zginąć, mieli posłużyć zabiciu innych. Najwyższa forma zaprzeczenia ich woli, ich zwyczajowo dobrej woli.

Dlatego w moim gabinecie stałam się bardzo wyczulona, przynajmniej z mojego punktu widzenia, na to w jaki sposób jestem używana i nadużywana. Jeśli czułam,

że mój pacjent angażował się w jakikolwiek, choćby najmniejszy, akt negacji, to reagowałam. Jakbym zdecydowała, że życie nie ma sensu, jeśli angażujemy się w działania podszyte pogardą czy wrogością. Walczyłam o przywrócenie sensu istnienia.

Straciłam ugruntowanie i przestałam praktykować inkluzję. Nie starałam się nawet zrozumieć sytuacji z perspektywy pacjenta. Reagowałam jedynie na wpływ, który ta sytuacja miała na mnie. A w tym wypadku „ja” było osobą rozpaczliwie potrzebującą przyznania jej godności, która pomogłaby mi przywrócić wiarę w relacje. Świat, którego doświadczałam (czy moje pole fenomenologiczne¹) został zaburzony, wręcz zniszczony.

Paradoksalnie utknęłam w spirali wzajemnej negacji. Moje reakcje na bycie negowaną były defensywne, moralistyczne, zawstydzające, innymi słowy, negujące! Zatem moi pacjenci bronili siebie zwiększając defensywność, którą ja z kolei odbierałam jako kolejną negację. I tak w kółko.

Potrzebowałam dużo czasu, żeby wrócić do równowagi w relacji z pacjentami. Szczególnie jedna pacjentka, Isabel, miała pecha zacząć współpracę ze mną zaledwie kilka dni po morderczych atakach 11. września. Isabel jest administratorką uczelni z wykształceniem lingwistycznym. Jej poprzedni terapeuta nagle zrezygnował z pracy z powodów zdrowotnych. Pacjentka była bardzo przywiązana do poprzedniego terapeuty i była załamana, że musi się z nim rozstać zanim będzie na to gotowa. Terapeuta zasugerował jej spotkanie ze mną a ona się zgodziła, ponieważ uczestnicząc w jednych z moich zajęć miała okazję poobserwować i polubić mój sposób bycia. Bała się jednak pracy z kobietą. Spodziewała się, że terapeutka użyje swojej pozycji, aby ją zdominować. Bała się też, że się załamie gdyby rozzłościła terapeutkę, a mimo to wybrała mnie po części dlatego, że podziwiała we mnie i pragnęła wzorować się na moim sposobie zdecydowanego wyrażania szerokiego zakresu uczuć, w tym złości.

Nasze trudności zaczęły się podczas pierwszych sesji. Dość szybko zorientowałam się, że postrzegałam Isabel przez pryzmat tego, co „mi robiła” zamiast przez pryzmat tego, co próbowała zrobić dla siebie. Zdawała się ignorować lub deflektować moje stwierdzenia i pytania. Zachowywała się też nieco władczo, jak gdyby miała wszelkie prawo wchodzić ze mną w takie interakcje, na jakie tylko miała ochotę, niezależnie od moich preferencji. Czułam się jak jeden z pasażerów samolotu, którego sprawczość nie miała żadnego znaczenia dla pacjentki-porywaczki. Czułam się zagrożona, gdy doświadczałam subtelnej roszczeniowości i subtelnej wrogości Isabel. Ta subtelność powodowała, że nie wiedziałam, jak wnieść te obszary naszej relacji jako figury.

Wszystkie te „zwykłe opisy” oddawały osądy, jakich się dopuszczałam, gdy nie wierzyłam w jej szczerłość, tylko z góry zakładałam, że jej działanie miało na celu odsunięcie mnie na dystans i zanegowanie mnie. Zakładałam, że bardziej skupiona jest na dążeniu do zaspokojenia swoich potrzeb przez bezpośrednie działanie aniżeli na używaniu terapii jako miejsca do eksplorowania swoich potrzeb. Co bardziej niepokojące, zauważyłam swoje poirytowanie, rozdrażnienie, wręcz święte oburzenie na myśl, że mną „zarządza” i mnie „używa” zamiast w pełni się ze mną spotkać i korzystać z mojej obecności. A co najistotniejsze i jeszcze bardziej

niepokojące, nawet nie próbowałam zrozumieć, co takiego działo się w jej polu, że wywoływało takie (według mnie) toksyczne zachowanie. Pozostawałam skupiona na swoich negatywnych reakcjach i dość często ją konfrontowałam.

Oczywiście ludzkie działania i interakcje są z natury nieoczywiste i otwarte na różnorakie interpretacje. Ale mówiąc ogólnie można uznać, że meta-poziom funkcji interakcji służy, poza oczywistym wymiarem komunikacji i ekspresji, jednocześnie samoregulacji oraz wpływaniu na drugiego. Ponieważ obie te funkcje są tak naprawdę nierozłączne w praktyce, w danym momencie jedna staje się bardziej wyraźną figurą niż druga. Samoregulacja wymaga wysiłku, aby utrzymać emocjonalną równowagę i aby utrzymać względnie stabilne poczucie własnej wartości. Na przykład, dana osoba może celowo unikać interakcji, które zwiększają ryzyko wprowadzenia tej osoby w stan zawstydzenia. Możemy mieć potrzebę wpływania na innych zarówno po to, aby zaangażować drugiego w aktywne stabilizowanie naszej samooceny jak i po to, by być z drugą osobą w taki sposób, który wspiera również jej dobrostan. Obie te funkcje opierają się głównie o świadomość. Często zdarza się, że ludzie regulują swoje stany emocjonalne działaniami, które zawstydzają lub w inny sposób destabilizują innych, ale ponieważ są skupione wyłącznie na samoregulacji, najczęściej nie mają świadomości, że osiągają swój cel jednocześnie zniechęcając tę drugą osobę do relacji. Gdy samoregulacja jest zagrożona, ludzie z reguły są w niewielkim stopniu świadomi czy zainteresowani wpływem jaki mają na innych. Często dochodzę do wniosku, że nie potrafią badać wpływu, jaki mają na innych, dopóki nie będą mieli pewności, że tandem z terapeutą zapewni im niezbędną regulację emocjonalną, którą wcześniej zapewniali sobie samodzielnie. Moja nierównowaga, wywołana moim zagrożonym procesem samoregulacji, polegała na tym, że zbyt często słuchałam i odpowiadałam pacjentom przez filtr: „co pacjent mi robi albo próbuje mi zrobić?”. Zazwyczaj jednak wolę słuchać przez pryzmat pytania: „co pacjent/-ka próbuje dla siebie zrobić i jakiego udziału w tym oczekuje z mojej strony?”. Czy pacjent/-ka stara się przede wszystkim wpłynąć na mnie poprzez negowanie mnie? Czy raczej stara się wyregulować swój zaburzony proces emocjonalny? Buber poruszył ten sam temat, gdy podkreślał wagę inkluzji oraz gdy zapewniał, że konieczne jest, aby terapeuta wiedział instynktownie, cieleśnie, jak to jest być pacjentem w relacji z terapeutą.

Odczytałam działanie Isabel jako negowanie mnie i naciskałam ją, aby zbadała, co ją do tego motywuje. Im bardziej ja reagowałam na negowanie mnie, tym bardziej Isabel musiała regulować się samodzielnie w jakikolwiek dostępny jej sposób i w ten sposób traciła szansę nauczenia się wzajemnej regulacji. Musiała bronić siebie działaniami, które jeszcze bardziej mnie negowały, ponieważ mój upór w dążeniu do tego, by mnie zauważyła, groził zdominowaniem i zanegowaniem Isabel. Moja własna zdesperowana „samoregulacja przez obwinianie” uniemożliwiła jej rozwinięcie się w taki sposób, aby nie miała potrzeby mnie negować!

Rozpacz i nienawiść były obecne w naszych interakcjach równie mocno co nasz cel terapeutyczny. Rzuciły się cieniem na naszą zaburzoną relację. Słaby kontakt i nic porozumienia mogły w realny sposób nas zubożyć, a nawet zniszczyć, a nasze rozpaczliwe działania samoobronne stały się zaklętym kręgiem wywołującym zamęt i defensywność.

Pogubiłam się jako terapeuta i praktycznie dręczyłam pacjentkę. Jak miałam odzyskać równowagę i przywrócić szansę na zaistnienie dialogu terapeutycznego? Starając się odzyskać stabilizację skupiłam się częściowo na rozważaniu teorii pola i kontekstualizmu.

Do mojej historii z Isabel wrócę za chwilę.

Kontekstualizm

Zacznijmy od dobitnego stwierdzenia; takiego, które nadaje ton wszystkiemu, co nastąpi. Podmioty ludzkie są umiejscowionymi, ucieleśnionymi działaczami, zamieszkującymi i zamieszkanymi przez, nie-obojętny świat (patrz Taylor, str. 22) [*tłumaczenie własne*]. Jesteśmy umiejscowieni , ponieważ pojawiajemy się na świecie w określonym momencie w historii, w danej rodzinie, środowisku etnicznym, narodowym i kulturalnym oraz w określonym kontekście językowym i obyczajowym. Jak to zgrabnie ujął Merleau-Ponty, jesteśmy ucieleśnionymi działaczami , ponieważ świat, którego doświadczamy, istnieje w odniesieniu do nas a w szczególności w relacji z nami jako polem potencjalnych działań. Oznacza to, że nasze pole percepcyjne ma strukturę orientacyjną. Rzeczy są blisko, daleko, w górze, na dole zawsze w odniesieniu do naszego funkcjonowania jako agentów w polu grawitacyjnym. Bez grawitacji, bez ciała i bez sprawczości, pojęcia bliski, daleki, w górze i na dole nie mają sensu (Taylor, str. 23). To ostatnie stwierdzenie wskazuje na to, że nasz świat jest nie-obojętny . Powstają figury zainteresowań. Tworzenie się figur jest nieprzerwanym, mimowolnym procesem a figury są zjawiskami wyłaniającymi się z naszego usytuowania i sprawczości.

Zatem nasze istnienie jako podmiotów ludzkich jest w bardzo dużym stopniu zależne od kontekstu. Jest to najbardziej fundamentalne twierdzenie teorii pola. Wszystkie szkoły usiłujące odejść od atomistycznej, izolacjonistycznej spuścizny szkoły kartezjańskiej, na różne sposoby podkreślają kontekstualną naturę ludzkiej egzystencji. W teorii gestalt fenomenologiczna teoria pola stanowi naszą szczególną dźwignię.

Teoria pola i kontekstualizm

Użycie teorii pola jako teorii kontekstualnej wnosi różne wartości, ale nastrocza też pewnych trudności. Dla mnie cenne są niektóre zasady wynikające z połączenia fenomenologii, myśli Lewina, psychologii gestalt a nawet, w pewnym zakresie, sposobu w jaki fizyka kwantowa odnosi się do zjawiska pola. Uwzględniam tu założenia równoczesności, horyzontalizmu oraz powiązań między zjawiskami (Parlett, 1991, Yontef, 1993).

Jednym z problemów jest fakt, że każdy z teoretyków zdaje się mieć inną definicję "pola". Niektórzy popierają Husserla twierząc, że pole jest pojęciem obejmującym nasz empiryczny świat: pole fenomenologiczne (McConville, 2001). Jest to także mój punkt widzenia. W poniższym fragmencie zaczerpniętym z artykułu McConville pt. "Fenomenologia Husserla w kontekście" znajduje się rozważanie o fenomenologicznych korzeniach teorii pola w terapii gestalt:

(...) poza zaangażowanym cielesnym obserwatorem nic [żadna figura] nie jest w stanie wyodrębnić się z czegokolwiek [tło]. Innymi słowy, pole nie istnieje, chyba że odwołujemy się do pola zawierającego w sobie, jako współtworzący biegun, zaangażowaną subiektywność. Autorzy tekstów dotyczących terapii gestalt często pomijają tę fenomenologiczną podstawę teorii pola i odnoszą się do pól jak do czegoś, co istnieje samoistnie (...)

Sens tego jest taki, że fenomenologia Husserla jest ... fundamentalna, stanowi podstawę radykalizacji teorii pola dla terapii gestalt. Nie można właściwie odnosić się do pola jako czegoś, co istnieje samodzielnie, w naturze, poza współtworzącą subiektywnością człowieka. (McConville, str. 200-201) [w nawiasach treść własna]

Inni wolą określać pole w bardziej zreifikowany sposób jako „coś” co istnieje gdzieś tam. Istnieją wpływy pola, które na nas oddziałują, które są poza nami i jednocześnie stanowią część natury naszych empirycznych światów czy naszych fenomenologicznych pól. Myślę, że właściwiej jest nazwać to naszym zakorzeniem w kontekstach.

Jak pisałam wyżej, funkcjonujemy w kontekstach. Nasze fenomenologiczne pola wynikają z tych kontekstów i są przez nie kształtowane. To, co ma potencjał wpływania na nas, jest też potencjalnie dostępne dla świadomości, nawet jeśli ta świadomość nigdy nie będzie w pełni zrealizowana. A jednak odnoszenie się do fenomenologicznego pola „danej osoby” jest błędne, ponieważ może oznaczać, że pole jest solipsystycznym, subiektywistycznym zjawiskiem. Nic bardziej mylnego. Nasze fenomenologiczne pola, mimo iż unikatowe, są także polami współdzielonymi. Obejmuje to najbardziej wyabstrahowane czynniki wspólne jak język, kulturę czy różne „formy życia”, jak to określił Wittgenstein, ale również bardziej bezpośrednio, takie jak to, że moje-bycie-w-twoim świecie oraz twoje-obecność-w-moim-świecie stwarza współistniejące i szeroko się zazębiające pola. Jest to najbardziej podstawowa inkluzja.

Przychodzimy na świat w określonych kontekstach historycznych, kulturowych, językowych i zwyczajowych, w nich funkcjonujemy oraz przyczyniamy się do kształtowania tychże kontekstów. Te konteksty w naturalny sposób stanowią nasze empiryczne światy, chociaż w dużej mierze bez udziału naszej świadomości. Są one niezbędne dla zaistnienia naszych fenomenologicznych pól. Są „tłem” umożliwiającym wyłonienie się „figury” „empirycznego świata”.

Kontekstualna ontologia i kontekstualna epistemologia są rekurencyjne. Dla mnie oznacza to, że niezależnie od tego co wydaje ci się, że wiesz, nigdy do końca nie będziesz znać pierwotnych czynników, które umożliwiły ci osiągnięcie tej wiedzy. To czego jesteś świadomym wymaga tła, wobec którego się wyłania, a tło z natury jest niewyraźne, nieokreślone i nie daje się poznać. Zatem cała wiedza jest częściowa, niekompletna i wymaga nieustannej rewizji (Wheeler, 2000). Nawet jeśli, poprzez rozróżnienie ich z tłem, spróbujesz zbadać warunki, które umożliwiają wyłonienie się pewnej interesującej cię figury, wyłonione przez siebie figury także wyjdą z ostatecznie niepoznawalnego tła. Przypomina to próby stworzenia określonego i pełnego rozumienia konceptu „self”. Czy też bardziej pragmatycznie, podobne to jest do stworzenia pełnej wiedzy o samym sobie. Samo skupienie się na tym self powoduje, że to self się zmienia i powstaje niezliczona liczba rzeczy do poznania.

To, co może się wyłonić i stać się wiedzą też jest ograniczone, zależnie od oddziałujących wpływów kontekstualnych kształtujących figury świadomości, które mogą się wyłonić. Oczywistym przykładem tego jest słowo „Amerykanin”. Spośród wielu skojarzeń i obrazów, które pojawiają się w związku z tym słowem, jasnoskóry człowiek zapewne skupi się na wyobrażeniu jasnoskórej osoby. Pojęcia „Amerykanin” i „biały” są ściśle ze sobą związane w praktykach językowych i kulturowych osób pochodzenia kaukaskiego. Nadmienię, że stanowi to czynnik utrudniający pełne zaistnienie w amerykańskiej kulturze osobom o innym kolorze skóry. Zazwyczaj nie są postrzegani jako „równi partnerzy” na tle jasnoskórego amerykańskiego subiektywizmu. Osoby o odmiennym kolorze skóry stają się widoczne dopiero, gdy podnoszone są kwestie dotyczące rasy czy koloru.

Konteksty są osadzone w sobie, jeden w drugim, a niektóre się wzajemnie wykluczają. Nasza bieżąca historia osadzona jest w kontekście naszej odleglejszej historii. Historia jednostki i subiektywność osadzone są w praktykach językowych. Zamach osoby grającej w tenisa osadzony jest w działaniach niemających nic wspólnego ze sportem. Niektóre konteksty są ze sobą sprzeczne. Wyabstrahowanym przykładem, angażującym nas wszystkich w obecnym czasie, jest to, że aktualne zainteresowanie postmodernizmem, czy post-kartezjańską myślą, osadzone jest w wieloletniej praktyce filozofii Zachodu. Wiele z naszych rozważań na temat psychologii jednostki osadza się w kartezjańskich praktykach językowych, które ukształtowały wszystkie aspekty naszego życia. Z drugiej strony fenomenologiczne pojmowanie świata, które także osadzone jest w i wynika z myśli kartezjańskiej, kłóci się z kartezjanizmem powodując nieścisłości i rozbieżności w filozofii, które mają na nas wpływ obecnie.

Etyka kontekstu i pola

Jak to elokwentnie napisał Bob Lee we wprowadzeniu do tego zbioru, istnieją pewne zasady etyczne, które przynależą do perspektywy pola. Ja twierdzę, że są one wpisane również w perspektywę kontekstualną, jako że jestem przekonana o tym, że można przypisać kontekstom te same zasady, wokół których zorganizowane są pola. W moim przekonaniu wiele zasad etycznych wynika z podstawowego założenia, że pola organizują się zgodnie z zasadą Pragnanz. Oznacza to, że pola organizują się w figury i tła w bardzo wyrafinowany, złożony, zróżnicowany i spójny sposób, przy zasobach dostępnych w naszym polu. W słowach bliższych doświadczeniu, jakość naszego życia i myślenia zależy od bogactwa pól, z których się wyłaniamy.

W prostym rozróżnieniu “tła organizm/środowisko”, gdzie ja jestem organizmem, jakość mojej egzystencji jest całkowicie współzależna od bogactwa środowiska. Moje środowisko jest bogate, jeśli zawiera dużą różnorodność pożywienia, atrakcji i wsparcia pozwalających mi na coraz bardziej złożone, zróżnicowane i satysfakcjonujące doświadczenia oraz od tego czy zaangażuję całe swoje bogactwo w moją interakcję ze środowiskiem.

Z mojego założenia wynikają trzy główne konsekwencje. Można je podsumować jako praktyki troski, inkluzji i otwartości na dialog. Każda z tych praktyk jest przejawem tego, co Buber określił mianem „przebywania w miłości”. Troska wobec siebie wymaga troski wobec mojego środowiska, chociaż opis nie jest całkowicie trafny. Słowa, których użyłam są indywidualistyczne, automatyczne, jak gdyby moje

istnienie mogło być oddzielne od mojego środowiska. Staram się raczej przekazać, że troska o moje środowisko jest też głęboką troską o mnie samą (ten koncept jest bardzo zbliżony do i kształtowany przez teksty Gordona Wheelera, 2000). Ponadto jakość mojego życia będzie wpływać na jakość mojego środowiska. Istniejemy nie tylko we wzajemnym różnicowaniu się pomiędzy sobą, ale we wzajemnym wpływaniu na siebie. Troska, która w przypadku dialogu międzyludzkiego może oznaczać szacunek dla i wrażliwość wobec godności drugiej osoby może stać się wzajemnie wzbogacającą sytuacją, taką w której poznawanie siebie i poznawanie drugiego wzajemnie się karmią.

Inkluzja wynika z założenia, że im bogatsze jest moje środowisko, tym więcej jest możliwości bogactwa i zasobów dla nas wszystkich. Jak dotąd mój opis brzmi jak czysto użyteczne podejście do etyki troski i inkluzji. W rzeczywistości staram się osiągnąć coś więcej niż użyteczną etykę. Odnoszę się do czegoś bardziej fundamentalnego w naszej współzależności. Odnoszę się do tego, że moje doświadczenie mojego istnienia jako osoby możliwe jest i rozkwita, gdy mogę być z innymi w taki sposób, który wzbogaca nas wszystkich. Nie oznacza to jedynie, że gdy ty się wzbogacisz, wzrosną szanse na to, że i ja się wzbogacę. Podstawą jest bardziej fakt, że mój wzbogacający wpływ na ciebie oraz twój na mnie jest fundamentalną cechą ludzkości, naszego bycia osobami.

Otwartość na dialog można najłatwiej opisać przez pryzmat naszego najistotniejszego pola, pola międzyludzkiego. Przez stulecia, gdy kształtował nas kartezjański model rzeczywistości a my żyliśmy według podziału na podmiot i obiekt, zadawano pytanie, na które zdawała się nie istnieć odpowiedź: Jak poznamy „drugiego”? Jednak, gdy Gestalt zanurzył się w fenomenologii oraz nieodłącznie z nią związanej teorii pola, nacisk tego pytania uległ zmianie. Pytanie nie brzmi już „jak możemy poznamy istnienie innych podmiotowości” ale raczej “Jak lub jakim sposobem uda nam się poznać drugiego?”. Zmiana nacisku jaki kładzie to pytanie przyjmuje za pewnik, że nie da się nie poznawać innych podmiotowości, ale że tylko poprzez innych my sami osiągamy podmiotowość. Nasze „jak” oznacza „Jakie będzie nasze podejście do poznawania drugiego?”. Ponieważ pytanie „jak” w rozważaniu jak podejmiemy do drugiego będzie współtworzyło poznanie i będzie współtworzyło warunki naszego istnienia. Czy będziemy badać drugiego jak okaz? Czy raczej wejdziemy we „współdzieloną sytuację” (Gadamer, 1975), w której poznamy się poprzez nasze empatie i ich “razem”?

Dialog ma dwie strony. Pierwszą tworzy pewnik, że dialog jest żywym procesem stawania się w relacji. Zaistnieć możemy w nieredukowalnej wzajemnej relacji pola organizmu i środowiska oraz, co najważniejsze, w relacji z innymi ludźmi. Drugą stroną dialogu jest to, że jest on sposobem na czy medium, w którym ożywa etyka troski i inkluzji. Dlatego nazywam to otwartością na dialog. Poprzez dialog z tym, co dla nas nowe, dziwne lub nieznanne, poszerzamy nasz doświadczalny świat tak, aby mieścił coraz więcej tej inności drugiego; a uczynić to możemy jedynie trwając w troskliwym dialogu. Jednak nasze postanowienie trwania w nim musimy nieustannie odnawiać, ponieważ zawsze istnieje pokusa powielania bieżących praktyk językowych i kulturowych.

Jeśli zgodzimy się z teorią, że rozmaite kontekstualne tła kształtują nasze pole fenomenologiczne i że te konteksty, choć w ogóle umożliwiając proces wyłaniania

się figur, ograniczają nasze doświadczenia w taki sposób, że pewne obszary wiedzy czy rozumienia znajdują się na pograniczu albo wręcz poza granicami naszych empirycznych kontekstów, to nasze horyzonty mogą się poszerzać jedynie przez doświadczanie pomieszenia, zaskoczenia i poczucia nonsensowności. A to umożliwia dialog. Na przykład, jedną kontekstualną zmienną, która kształtuje, ogranicza i pomaga budować naszą wiedzę to werbalny świat, który zamieszkujemy (i który zamieszkuje nas). Jak wspomniałam wcześniej, jeśli słowo „Amerykanin” stanie się synonimem słowa „biały”, to w naszym kontekście nie będzie miejsca dla ludzi innego koloru skóry, z którymi dzielimy tę amerykańską ziemię i idee. Więc czarnoskórzy Amerykanie będą istnieli w naszym fizycznym, nawet historycznym i kulturowym kontekście jako „rzeczy” lub jako elementy naszej historii, ale nie jako „Amerykanie”. I to pomimo faktu, że wielu ich przodków ukształtowało Amerykę na długo przed przybyciem tu przodków białoskórych Amerykan.

Jeśli przyjrzymy się bliżej kontekstowi tego wąskiego sposobu widzenia, z pewnością dostrzeżemy historię rasizmu i wykluczenia na tle rasowym, które zdominowały nasz język i nasze schematy działania. Możemy jednak spojrzeć głębiej. Możemy wyrzeć ponad fizyczne granice Ameryki na ideę Ameryki. Angielscy i Europejscy imigranci przybyli do Ameryki z różnych powodów, ale bardzo niewielu przybyło tu z ekscytacją na myśl o różnorodności kolorystycznej i kulturowej, którą teraz jesteśmy. Przybyli oni do „białego” kraju. Zmierzam do tego, że niezależnie od tego jak skrupulatnie, jak szeroko i jak dogłębnie przeanalizujemy czynniki przyczyniające się do połączenia białości i Ameryki, nigdy nie wyczerpiemy tego tematu.

McConville (1997), białoskóry terapeuta gestalt pięknie opisał jak jego własne tło kulturowe jest podkreślane (co naturalnie natychmiast zmienia to tło), gdy doświadczają on chwil konsternacji. Są to momenty, w których jest zaskoczony i pogubiony z powodu różnicy między tym, jak on sam przeżywa siebie, a jak inni go postrzegają w dialogach wielorasowych. Łatwo jest zignorować takie momenty i osoby je wywołujące. Jednak dobrze jest być otwartym na eksplorowanie konsternacji, zwłaszcza będąc terapeutą. Takie sytuacje są naszą szansą zetknięcia się z czymś, czego nie odkrylibyśmy samodzielnie. Negowanie oraz jego raniące skutki duże i małe stanowią kontrpunkt wartości inkluzji i troski oraz otwartości na dialog. Trzymanie się swoich wąskich horyzontów wyklucza i neguje inność.

Sama wielokrotnie doświadczalam chwil zaskoczenia i pogubienia, doświadczalam też trudności, gdy docierałam do granic możliwości poznawczych naszego języka.

Na przykład, gdy miałam 11 lat chciałam grać w baseball w letniej lidze sponsorowanej przez nasz Wydział ds. parków i rekreacji. Byłam całkiem niezłą na pierwszej bazie. Byłam leworęczna, chuda, idealna do tej roli. Poza faktem, że byłam dziewczyną. Weszłam na boisko z innymi graczami, samymi chłopcami w wieku od 10 do 12 lat. Myślałam, że idealnie pasuję do ligi, moja żeńskość nie miała dla mnie znaczenia. Bo co miałyby mieć wspólnego z uprawianiem sportów?

Stałam na pierwszej bazie, żeby razem ze wszystkimi zrobić rozgrzewkę, rzucanie piłki w kole. Potem przeszliśmy do poważniejszych ćwiczeń. Wtedy chłopcy zorientowali się, że miałam dołączyć do drużyny i zaczęli patrzeć na mnie surowym wzrokiem. W trakcie ćwiczeń mierzyli we mnie piłką najmocniej, jak tylko potrafili.

Ekscytowało mnie wyzwanie żeby złapać każdą piłkę, którą rzucali w moim kierunku i zaczęłam cieszyć się z udowadniania im, że dziewczyna potrafi grać w baseball. Założyłam, że jeśli będę grała wystarczająco dobrze, chłopcy zmienią swoje pierwotne niechętnie nastawienie i zaakceptują mnie jako członka drużyny. Na koniec dnia bolała mnie ręka, ale byłam podekscytowana możliwością dołączenia do drużyny, na co zasłużyłam.

Mylłam się co do drużyny. Chłopcy nie chcieli, żebym z nimi grała. Narzekali i jęczeli trenerowi powtarzając, że dziewczyny nie są wystarczająco dobre, żeby grać. Trener zdecydował, że mogę grać, ale niestety nie widział mnie podczas treningu i nie miał pojęcia, co potrafię. Pozwolił mi grać, bo to nie była profesjonalna liga a jego zadaniem było dopilnować, aby wszystkie dzieci korzystały z atrakcji parku. On też nie wierzył, że dziewczyny potrafią grać.

Brzmi to jak opowieść ze średniowiecza.

W każdym razie poszliśmy na nasz pierwszy mecz. Nasza drużyna remisowała i w ostatnich minutach rozgrywki trener zdecydował się wystawić mnie na boisko. Chłopcy przewracali oczami. Miałam grać w prawym polu, które obsadza się dziećmi, których zdolności trener nie jest pewien. Byłam przygnębiona i czułam na barkach ciężar wstydu i upokorzenia wychodząc na boisko. Dwie piłki wybito w moim kierunku. Nie złapałam żadnej. Byłam sztywna i nieskoordynowana i czułam się nędznie ze świadomością, że jestem niechciana.

Tak skończyła się moja próba wstąpienia do zorganizowanej drużyny baseballa.ⁱⁱ

Dzięki temu doświadczeniu mam głęboki szacunek dla ludzi, którzy są w stanie dobrze funkcjonować nawet pośród niechęci i negacji. Przypominają mi się osoby czarnoskóre, które zostały zatrudnione w ramach działań afirmatywnych. Osoby z nimi pracujące często nimi gardzą, nie spodziewają się po nich dobrej pracy, a gdy faktycznie kiepsko im idzie, ich porażki tłumaczy się założeniem, że od początku nie mieli kwalifikacji, ignorując fakt, że ciężko jest optymalnie działać w nieprzychylnym środowisku. Zawstydzająca jakość takiego środowiska może być zbyt trudna do pokonania. Dla mnie taka była.

Wykluczająca mnie postawa drużyny oznaczała, że zasoby mojego środowiska były zredukowane. Wsparcie ze strony mojej drużyny było nie do zaakceptowania. Każdy członek mojej drużyny również zubożał, ponieważ kiepska jakość mojej gry negatywnie wpłynęła na walor estetyczny całej rozgrywki i przyczyniła się do naszej porażki. Nasz wzajemny wpływ był cyklem wzajemnego zubażania i osłabienia potencjału.

Co spowodowało tak wykluczającą postawę? Jednym z czynników było to, że w moim dzieciństwie nie istniało słowo na określenie „żeńskiego atlety”. Nasze zwyczaje językowe i kulturowe nie przyczyniały się do powstania figury atletki. Nie było języka, żadnej idei tłumaczącej to kim lub czym wtedy byłam. Tutaj właśnie otwartość na dialog staje się kluczowa. Dialog staje się sposobem dzięki któremu troska i inkluzja mogą rosnąć i angażować, a ostatecznie też obejmować, to co dotychczas było poza naszym horyzontem. Nikt też nie chciał wchodzić ze mną w

nową narrację, nowy dialog (poprzez słowa czy działania) który mógłby poszerzyć ich zdolności pojmowania na tyle, aby zaakceptować fakt, że dziewczyna może grać w baseball.

Mniej więcej w tym samym wieku zdumiało mnie kolejne odrzucenie, które nie wiązało się z wymogami koniecznymi do wykonywania czynności, która mnie interesowała. Byłam bardzo pochłonięta tematem polityki i rządu, całym sercem pragnęłam zostać gońcem w Senacie USA. Byli to nastolatkwie odpowiedzialni za dostarczanie wiadomości i dokumentów w Senacie. Powiedziałam rodzicom, że chciałam ubiegać się o posadę gońca a oni powiedzieli, że to niemożliwe, ponieważ tylko chłopcy mogli być gońcami. Zdumienie, które McConville opisał, rozchodziło się po moim ciele niczym mdląca fala uderzeniowa. Czułam się jakbym z pełnym impetem zderzyła się ze szklaną ścianą, której się nie spodziewałam. Nie byłam w stanie pojąć jaka jakość mojej płci sprawiała, że nie mogę być gońcem. Równie dobrze mogli powiedzieć, że na to stanowisko przyjmują wyłącznie ludzi ze znamionami na prawej ręce. Paliło mnie upokorzenie i cierpiałam z powodu mojej straty.

Z tego miejsca był już tylko żabi skok do zrozumienia, dlaczego uważność na wstyd jest tak kluczowym elementem procesu terapeutycznego. Wstyd sygnalizuje, że jakiś aspekt mojego self nie został zaakceptowany, być może nie został nawet rozpoznany, w empirycznym świecie danej osoby. Wstyd pacjenta może sygnalizować, że na dany moment terapeuta ma ograniczoną zdolność przyjmowania empirycznego świata tego pacjenta, może też określać elementy, które w przeszłości były poza horyzontem rodzinnym i kulturowym pacjenta.

Mam tu na myśli zagadnienie uwewnętrznionej homofobii. Stoi za nim założenie, że pogarda, którą odczuwają wobec siebie niektórzy geje i lesbijki, wynika z homofobicznego kontekstu, w którym formują się ich doświadczalne światy. Ich pola kształtowane (skażone) są kontekstem homofobii. Ja sugeruję, że niektórych mogło spotkać coś jeszcze bardziej znamiennego w skutki. Niektóre lesbijki i niektórzy geje dorastali w kontekstach całkowicie pozbawionych konceptualnych, językowych i zwyczajowych praktyk dotyczących homoseksualności. Homofobia przynajmniej uznaje istnienie homoseksualności. Jednak w niektórych kontekstach heteroseksualność jest tak silna, że idea homoseksualności jest jedynie drobnym szeptem, o ile w ogóle istnieje. Osoba homoseksualna, która osiąga dojrzałość w takim kontekście, nie jest w stanie znaleźć wokół siebie odzwierciedlenia swojej natury. Myślę, że powoduje to ogromną pustkę w poczuciu istnienia i przynależności tych osób. Nawiązuję tu do stwierdzenia Wheelera (2000), że potrzeby są zjawiskami wyłaniającymi się w interpersonalnym dialogu. To znaczy, że pacjent może nie być w stanie zidentyfikować potrzeby, gdy terapeuta nie będzie otwarty i przez to nie rozpozna tej potrzeby.

Sprawczość i sumienie/świadomość

Skoro jesteśmy kształtowani przez nasz kontekst, to czy jesteśmy jedynie ich biernym produktem końcowym ukształtowanym? Myślę, że możemy słusznie powiedzieć, że nie. Istota ludzka jest zjawiskiem wyłaniającym się co oznacza, że myśli, uczucia, postawy danej osoby w odpowiedzi na każdą sytuację nie są przewidywalne, choć z perspektywy czasu mogą się wydawać „oczywiste”. Jesteśmy

aktywnie działającymi istotami a u podstaw naszej natury leżą wybór i odpowiedzialność. Jak można ten fakt wytłumaczyć jedynie kontekstualną ontologią?

Nasze pole fenomenologiczne jest nieustannie przekształcane przez współgranie wielu kontekstów. Niektóre z tych kontekstów nakładają się na siebie, niektóre są całkowicie odrębne, niektóre są osadzone w innych. Nasza sprawczość, choć ograniczona, wynika z naszego nieprzerwanego istnienia pośród wielu kontekstów. Za każdym razem, gdy angażujemy się w dialog pomiędzy kontekstami, otwieramy się na różnice. Różnice niosą ze sobą możliwość wyboru a przez to sprawczości. Jednak, aby mieć opcję wyboru, dana osoba musi być otwarta na dialog pomiędzy kontekstami, taki w którym rozpoznaje sprzeczności między kontekstami. Tylko wtedy możemy poszerzać nasze horyzonty.

Jako terapeuci pozwalamy sobie zanurzyć się w trwającym nieprzerwanie dialogu, który często jest intensywny i absorbujący. Może się zdarzyć, że stracimy perspektywę, pogubimy się. Jednym ze sposobów na odzyskanie gruntu pod nogami jest sięganie poza nasze najbliższe i najbardziej dostępne konteksty danej diady i wprowadzenie trzeciej strony dyskusji, czy to w osobie faktycznego superwizora czy, co częściej się zdarza, w formie naszych uwewnętrznionych superwizorów, idei i wrażliwości naszych zawodowych społeczności. Lub poszerzamy swoją perspektywę, inaczej osadzamy naszą relację z pacjentem w obrębie zadania terapeutycznego.

Na przykład, zapewne każdy z nas poczuł się kiedyś obrażony i zraniony przez pacjenta. Bywa, że relacje z niektórymi pacjentami są nietrwale, pilne, pełne gwałtownych zmian nastroju, skłaniających nas do działań, których później możemy żałować. Co tak na prawdę pomaga nam nie ulegać naporom emocji, wezwaniom do działania, pragnieniu odwetu czy rzucania się na ratunek? Wierzę, że jesteśmy bardzo oddani czemuś, co istnieje poza bezpośrednim kontekstem dwóch osób siedzących w jednym pomieszczeniu i zaangażowanych w psychologiczną rozgrywkę o śmierć i życie (taką, jaką miałam z Isabel). Jesteśmy niesamowicie oddani pewnemu zadaniu, zadaniu wywierania produktywnego wpływu na życie drugiej osoby. Przez większość czasu nasza miłość do tego zadania przeważa nad trudnymi uczuciami, które żywimy do naszego pacjenta (może nawet pomaga nam żywić pozytywne emocje do tego trudnego pacjenta) a ta miłość do zadania kontaktuje nas z innymi kontekstami znajdującymi się poza tym bezpośrednim kontekstem bieżącej sytuacji gabinetowej.

Wcześniej mówiłam o tym, że traktujemy nasze zadanie jako "Ty" (jak w Ja-Ty - przyp. tłum.). Takie odnoszenie się do zadania powoduje, że dana osoba jest w dialogu nie tylko z pacjentem, ale także z własnymi tradycjami i wspierającymi postawami, które zawierają się w naszym zadaniu:

Dylemat terapeuty polega na tym, że spotyka się on z pacjentem nastawiony na i zaangażowany w dialog, ale nie dąży do walidacji siebie poprzez to bezpośrednie spotkanie z drugą osobą. Walidacja terapeuty następuje poprzez wyrażenie siebie w służbie zadania. Friedman sugerował, a ja się z nim zgadzam, że choć terapeuci nie oczekują walidacji od pacjentów, muszą być otwarci na taką możliwość, ponieważ przynależy ona do relacji opartej na dialogu. Właściwie terapeuta zostaje umocniony, gdy pacjent pozwala sobie przyjąć pomoc (1985, str. 19). Jednak ostatecznie, to

wiara terapeuty w „prawdę” o zadaniu, w to, że to zadanie umożliwi oswobodzenie obu osób, pozwala terapeutę odsunąć na bok chęć bycia umocnionym przez drugą osobę i zamiast tego czerpać umocnienie ze świadomości, że w ten sposób wspiera zadanie najbardziej kreatywnie jak to możliwe. (Hycner and Jacobs, p.75)

Wciągani jesteśmy w wyobrażone i faktyczne dyskusje z naszymi zawodowymi ideałami, naszymi teoriami, ludźmi, którzy wspierają nasze starania. Pamiętam, jak raz starałam się z pewnym pacjentem o to, czy będę się z nim spotykać na 50 minut czy 45 minut. Przeżywałam go jako osobę nachalną i roszczeniową. Usztywniłam swój kręgosłup i stawiałam opór. Sesja zakończyła się moim stwierdzeniem, że muszę to przemyśleć a on powiedział, że od mojej decyzji zależy to, czy będziemy razem pracować czy nie. Poszłam do gabinetu koleżanki, żeby się wyładować. Wysłuchała mojej opowieści i ze spokojem stwierdziła, że pozwoliłam, aby moja duma stała się przeszkodą i że na ten moment terapia powinna być ważniejsza niż moja urażona duma. Miała rację i pomogła mi ponownie skupić się na tym, co było dla mnie ważne zamiast gubić się w moich bezpośrednich reakcjach (pomocny opis dalszej części tej wymiany opisany jest w Hycner i Jacobs, 136-7).

Powrót do Isabel

Wracając do opowieści o Isabel, którą zaczęłam na początku artykułu: jak miałyśmy wyjść ze spirali negacji, która nas pochłonęła? Naturalnie największa odpowiedzialność przypada terapeutę. Kluczowym słowem jest tutaj „terapeuta”. Oznacza ono, że przyjąłam pewną rolę a ta rola nie tylko obciążyła mnie pewną odpowiedzialnością, ale także otworzyła możliwość odratowywania i naprawiania. Ta rola stworzyła dla mnie nowy kontekst, w który mogłam się zaangażować, odmienny od tego, z którego zdawałam się działać dotychczas, a który zredukowany był do osobistej walki o psychiczne przetrwanie. Właściwie, to wydaje mi się, że utknęłyśmy w nierozwiązywalnym konflikcie przez to, że ja pozbawiłam naszą relację właściwego kontekstu. Nie postrzegałam naszej relacji jako osadzonej w kontekście terapeutycznego dążenia.

Co było przyczyną? Jednym sposobem na określenie tego, co się między nami stało to stwierdzić, że obie utknęłyśmy w naszych odmiennych sposobach reagowania na traumę. Doświadczenie traumy redukuje naszą zdolność samoregulacji. Wtedy raczej reagujemy zamiast analizować i odpowiadać, nasze myśli podążają za schematem albo-albo zamiast odwoływać się do złożoności sytuacji co powoduje, że jesteśmy bardziej napięci i wyczuleni na kolejne zagrożenie, upośledzając naszą zdolność interpretowania naszego działania w naszym świecie. Isabel doświadczyła traumy związanej ze stratą terapeuty. Ja doświadczyłam tego samego dziesięć lat wcześniej, a gdy Isabel zgłosiła się na terapię kończyłam właśnie spisywać własną historię straty, która przywoływała przykre emocje. Obie byłyśmy też straumatyzowane przez przytłaczająco gwałtowną śmierć tak wielu osób i poczucie straty, które zalewały ulice całego kraju w tamtym czasie. Potrzebowałam się wycofać i być traktowana z łagodnością. Ona zgłosiła się do mnie, żebym zajęła się jej cierpieniem poprzez zadbanie o jej potrzeby tak, aby nie odczuwała już strachu ani bólu – zachowanie, na które trudno mi odpowiedzieć nawet w dobre dni – byłam więc szorstka, konfrontowałam ją i zamknęłam przed nią moje troskliwe serce. Im bardziej ja stawiałam opór, tym ona bardziej stawała się natarczywa. Jej narastająca potrzeba była dla niej najsensowniejszą reakcją na fakt, że ja stawałam się dla niej

coraz mniej dostępna. Ona walczyła o to, abym zauważyła jej potrzeby i traktowała je poważnie a ja się wycofywałam i zbywałam ją, aby chronić moją wrażliwą skórę.ⁱⁱⁱ

Gdy odniosłam naszą trudność do szerszego kontekstu terapeutycznego dążenia byłam w stanie przypominać sobie nieustannie o moim zadaniu a oddając temu zadaniu całe swoje serce potrafiłam inaczej odnieść nasze trudności do kontekstu, co uwolniło mnie od przymusu walki o przetrwanie. Teraz, zamiast skupiać się na tym, że moje przetrwanie było zagrożone, pozwoliłam, aby miłość dała przestrzeń do wyłonienia się nowych figur. Zaczęłam rozumieć jak mój straumatyzowany punkt widzenia odgrywał w naszych interakcjach znacznie większą rolę niż sądziłam. Zwiększyłam starania pozyskiwania wsparcia, którego potrzebowałam do przywrócenia mojej równowagi emocjonalnej i uzyskania wsparcia niezbędnego do zrozumienia Isabel poprzez praktykowanie inkluzji zamiast obserwowania i oceniania jej z chroniącej mnie odległości. Zaczęłam łączyć szacunek do siebie i troskę o rozwój Isabel z dobrym wykonywaniem mojego zadania, podczas gdy będąc w pogubieniu moje przetrwanie polegało na uzmysłowieniu mojej pacjentce (i zatrzymaniu!) tego, co mi robi.

Największym czynnikiem utrudniającym nam działanie zgodne z etyką pola epistemologicznego, jak sądzę, jest nasze zamknięcie się w jednym lokalnym kontekście, ponieważ tracimy wtedy z oczu wszystko, co jest poza granicami tego najbardziej bezpośredniego wąskiego narzuconego tymczasowego kontekstu. Można nawet powiedzieć, że problem polega na tym, że postrzeganie naszego kontekstu zostało tak zawężone, że straciliśmy nasz kontekst (co bardzo często ma miejsce w doświadczeniu traumy). Interakcje zostały oderwane od kontekstu, jak figura odcięta od kreującego ją tła^{iv}. Tracimy perspektywę, jeśli nie sięgamy poza najbliższy nam kontekst, aby odnieść się do czegoś, co istnieje poza najbliższą nam figurą. W takich momentach figura przysłania niemal wszystko a w rzeczywistości jest zawężona i nadmiernie uproszczona. Traci swoją „treściwą obecność”, której nabiera, gdy widzimy ją nie tylko w odniesieniu do jej bezpośredniego tła, ale także szerszych kontekstów. Nasza otwartość badania kontekstów będących tłem dla bieżącego gestaltu zapewnia stabilność, której nie da wyizolowana bieżąca chwila.

Wierzę, że nienawiść i negacja, gorączkowe zabiegi osoby, której poczucie self jest zagrożone, stoją w opozycji do inkluzji, troski i dialogu – które można luźno nazwać miłością – i są efektami ubocznymi redukcji czy pozbawiania kontekstu, z której wyłania się figura. Samo postanowienie, żeby coraz większą uwagę obejmować kontekstualne wpływy kształtujące każdą interakcję, każdy język, kulturę i zwyczaj, jest włączaniem, troską i dialogiem, jednocześnie jest też tłem, z którego może wyłaniać się jeszcze większa inkluzja, troska i dialog.

Gdy zatracimy się w bieżącej chwili, będziemy bardziej podatni na nienawiść i zawstydzanie. Taki był mój kłopot z Isabel. Moje powolne odzyskiwanie zdolności do dobrej pracy z nią wynikało z mojego postanowienia, aby utrzymać nasz dialog tak otwartym jak to tylko możliwe. Z Isabel było mi najtrudniej to robić, ale udawało mi się być bardziej otwartą na dialog ze znajomymi terapeutami i wymianę opinii na temat tego procesu terapeutycznego oraz mojego zaangażowania w ten proces. Te przekrojowe dyskusje pomogły mi rozpocząć bardziej inkluzywny dialog z Isabel,

który naturalnie przybliżył mnie do okropnych obaw – jej i moich – które uwikłały nas w zmagania pomiędzy życiem a śmiercią.

Teraz radzimy sobie lepiej, co i jej, i mnie daje dużą ulgę. Dużo rozmawiamy o naszych trudach i o jej (i moich) rozczarowaniach w związku z moim reaktywnym zachowaniem. Ostatnio Isabel, która wie, że przeszłam przez trening analityczny (podczas którego byłam uważnie superwizowana w związku z trzema „przypadkami kontrolnymi”), powiedziała mi, że ostatnio powiedziała mamie coś, co ja niedawno powiedziałam jej samej. Chciała dowiedzieć się więcej o moich preferencjach i opiniach na temat terapii, aby sama mogła lepiej zrozumieć szersze znaczenie tego, co powiedziała mamie. Wzdrygnęłam się, uśmiechnęłam i powiedziałam „Och nie, nie czytaj moich artykułów, bo zauważysz jak bardzo moje założenia o terapii różnią się od tego, co robię tutaj z tobą!” Ona również się roześmiała i powiedziała „czyż to nie cudownie, że nie byłam jednym z twoich przypadków kontrolnych? W przeciwnym razie na pewno byś nie zdała!” Nie rozwiązałyśmy wszystkich naszych trudności, ale pracujemy nad nimi razem.

Bibliografia

Friedman, M. 1985. THE HEALING DIALOGUE IN PSYCHOTHERAPY. New York: Jason Aronson

Gadamer, H.G. (1975). TRUTH AND METHOD. Trans. J. Weisheimer & D. Marshall, 2nd ed., NY: Crossroads, 1991.

Hycner, R., and Jacobs, L. (1995). THE HEALING RELATIONSHIP IN GESTALT THERAPY: A DIALOGIC/ SELF PSYCHOLOGY APPROACH, Highland, NY: Gestalt Journal Press

McConville, M. (1997). “The Gift,” in McConville, M (ed.) The GIC Voice, GIC, Cleveland

McConville, M. (2001). Husserl’s phenomenology in context. Gestalt Review, 5:3, pp. 195-204.

Parlett, M. (1991). Reflections on field theory. British Gestalt Journal, 1:2, pp.69- 81.

Staemmler, F-M. (1997). Towards a Theory of Regressive Processes in Gestalt Therapy. Gestalt Journal, 20:1, pp.49-120.

Taylor, C. (1995). PHILOSOPHICAL ARGUMENTS. Harvard Univ. Press, Cambridge, MA.

Wheeler, G (2000). BEYOND INDIVIDUALISM. Cambridge, MA, GIC Press.

Yontef, G. (1993). Awareness, Dialogue and Process. Highland, NY, Gestalt Journal Press.

ⁱ Będę stosować określenia “experiential świat” i “pole fenomenologiczne” wymiennie w treści całego artykułu.

ⁱⁱ W wieku 33 lat wstąpiłam do ligi softballa dorosłych kobiet. Gram na pierwszej bazie!

ⁱⁱⁱ Jestem wdzięczna dr Donnie Orange, PhD za jej pełne wglądu uwagi o wpływie mojego strauumatyzowanego stanu umysłu na moja pracę z tą pacjentką oraz z innymi.

^{iv} Frank-M. Staemmler (1997) opisał to zjawisko jako process regresywny (regressive process). Ja postrzegam go raczej jako strauumatyzowany stan umysłu (state of mind). Oczywiście, oba te założenia są do siebie zbliżone.